

Prof. Andrzej Walicki
Członek rzeczywisty PAN

Uwagi o reformie dotyczącej nauki

(Streszczenie wystąpienia w Belwederze 17 maja 2011 r.)

1. Jako emerytowany profesor Uniwersytetu Notre Dame w USA (12 lat pracy), mający również doświadczenia ze Stanfordu, Oksfordu i Australii, wyrażam zdumienie, że twórcy reformy powołują się na wzory amerykańskie i brytyjskie. W USA nie ma, jak wiadomo, ministerstwa nauki, centralistyczne kierowanie uniwersytetami przez władzę państwową jest nie do pomyślenia. Stare uniwersytety brytyjskie mają całkowitą autonomię gwarantowaną przez *common law*.
2. Dwustopniowość studiów w USA wyklucza masowość studiów policencjackich. Ilość studentów podyplomowych, tzn. piszących magisteria a potem doktoraty, niewiele przewyższa liczbę profesorów, dzięki czemu możliwa jest praca indywidualna ze studentami metodami tutorialnymi.
3. Nadawanie stopni naukowych jest wyłącznie sprawą uczelni. Pełnym profesorem z dożywotnim zatrudnieniem (*tenure*) zostaje się w USA po opublikowaniu 3 książek. Wymogi stawiane przez ustawę polskim kandydatom do profesury są nierealistycznie wysokie. Nie w każdej dziedzinie wiedzy można wypromować 3 doktorów i prowadzić badania zespołowe, zwłaszcza w humanistyce. Najlepsi ze znanych mi uczonych amerykańskich i brytyjskich nie spełniliby tego ostatniego wymogu.
4. Ranking uniwersytetów w USA zależny jest nie tylko od wydajności pracy uczonych, ale też od warunków ich pracy. Uniwersytet oceniany jest tym wyżej, im więcej płaci swym profesorom, im więcej jego absolwentów zdobywa dobre miejsca na rynku pracy itp. Prawem każdego profesora jest *sabbatical year*, czyli płatny roczny urlop co 7 lat. Uczelnia nierespektująca tego uprawnienia byłaby pariasem w systemie uniwersyteckim.
5. Punktowy system ocen traktowany jest z przymrużeniem oka, a osławiony „indeks cytatów” słusznie uważany jest za źródło korupcji i patologii.
6. Jest rzeczą oczywistą, że humaniści i przedstawiciele nauk społecznych muszą być traktowani inaczej, niż przedstawiciele nauk ścisłych. Ci ostatni zabiegają o umowy z wielkimi korporacjami (co w Polsce nie jest możliwe), ci pierwsi nie muszą się o to starać, są bowiem utrzymywani z hojnych dotacji bogatych absolwentów uczelni.

Wyliczenie to można znacznie przedłużyć. Reformatorzy nauki polskiej czerpią ze wzorów amerykańskich i brytyjskich niezmiernie wybiórczo i w dodatku wydają się nie rozumieć tych wzorów. W rezultacie proponowane reformy znacznie pogarszają i tak złe warunki pracy uczonych polskich, czyniąc to w dodatku metodami biurokratyczno-administracyjnymi, likwidującymi w praktyce autonomię uczelni.

Uzupełnienie uwag o reformie nauki

I. Przewody doktorskie

Nierealistycznie wysokie są również wymogi stawiane przez ustawę osobom piszącym prace doktorskie: posiadanie wydanej lub przyjętej do druku książki lub co najmniej jednej publikacji naukowej o zasięgu ogólnokrajowym (art. 11/2). Jest to wymóg niemożliwy do spełnienia, a ponadto wprowadzający drastyczną dyskryminację

doktorantów polskich w porównaniu z amerykańskimi – w USA bowiem otwartą drogę do doktoratu ma każdy graduate student, który zaliczył określoną liczbę „kredytów” i zdał egzamin magisterski (bez pisania pracy magisterskiej, bo większość uczelni zniosła ten warunek). Nie rozumiem dlaczego młodzi naukowcy polscy, pracujący w warunkach nierównie gorszych niż amerykańskie, mają mieć na drodze do doktoratu przeszkody nieznane w innych krajach.

II. W sprawie „masówki” na studiach podyplomowych, które z samego założenia nie mogą być masowe.

Graduate students przyjmowani są w oparciu o oświadczenia, w których określają swoje zainteresowania i mówią, z którym z profesorów chcieliby pracować. Każdy graduate student ma indywidualnego doradcę (advisor), który nim kieruje, ponadto istnieje ogólnowydziałowy director of graduate studies. Jeśli profesorów jest na wydziale, powiedzmy, 30, to graduate students jest mniej więcej tyle samo. Wykłady uważane są za metodę staroświecką, autorytarną, a więc graduate students uczą się w małych grupach, w systemie kolokwiów i seminariów różnego stopnia (na najbardziej specjalistycznych piszą eseje do 30 stron). Syllabus każdego kursu dokładnie określa lektury, daty konkretnych tematów i wymagania. Studenci czytają i streszczają te lektury, profesor poprawia błędy, kieruje dyskusją i ją podsumowuje.

Jest to system bardzo pracochłonny, bo ze względu na małą ilość studentów nie można powtarzać kursów częściej niż co parę lat, ale ma tę zaletę, że trzeba być na bieżąco z najnowszą literaturą przedmiotu i kierować lekturami studentów zindywidualizowaną metodą tutorialną. Studenci zdobywają punkty nie tylko za kursy, ale też za indywidualne „kierowane” lektury (directed readings)

III. Pragnę dodać, że oburzył mnie artykuł prof. Wiktora Osiatyńskiego „Profesor od 9 do 17”, „Gazeta Wyborcza” 12-13 II 2011, dowodzący, że polskim naukowcom „żyje się wygodnie jak wszystkim grupom zawodowym, które mogą wykorzystywać państwo”. Argument: amerykański profesor siedzi w swoim gabinecie od 9 do 17, aby zachęcić studentów do wchodzenia w każdej chwili i nie pracuje na drugim etacie. Otóż:

1. Gabinet profesora jest jego dodatkową powierzchnią mieszkalną, w której mieści się jego biblioteka, bo nie chce mieć książek w domu ze względu na kurz, który jest niezdrowy.
2. Przychodzi zwykle (choć wcale nie musi) o 9, bo taki jest rytm dnia w kraju, gdzie od godz. 11.30 wszyscy jedzą już lunch, a między 12 a 14 pozamykane są nawet dziekanaty. Je lunch 2 godziny w Faculty Club, o 17 idzie do domu, bo od 18 zaczyna się święta pora dinneru i czas przeznaczony na lektury, TV lub dla rodziny. Polscy profesorowie chętnie by na takie warunki przystali.